Nr. 18 We Lwowie dnia 4. maja 1896 Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

JEZIORO MAERJELEN.

(Z wrażeń alpejskich.)

I.

Z szczytu patrzałem na twe zimne tonie,
Na nieruchomą zieleń twych przeźroczy,
Lśniących, jak smaragd, w olbrzymiej koronie
Wirchów lodowych i piardżystych zboczy.

O Maerjelen! niebo w okrąg płonie,
Całe w ozdobie promiennych warkoczy,
A na błękitnym twych głębin wygonie
Stado kier białych w cichej fali broczy.

Na Wyspie Zmarłych snać jest kryształ taki,
Gdzie dusze, wziąwszy rozbrat z znojną ziemią,
Zmywają z siebie doczesność i potem,

Wielkich tajemnic przeniknąwszy szlaki,
Dla ciał zamknięte, jak łabędzie drzemią,
Oszołomione swym nowym żywotem.

II.

Przedziwna cisza... Ni wiew nie zawionie,
Żwir się po graniach czarniawych nie stoczy,
Śnieg w tę spokoju milczącą harmonję
Z hukiem z swej paszczy nie wypadnie smoczej.

Czułem, że skryta gdzieś w przestworów łonie
Śmierć, na twej tafli magicznemi oczy
Spoczywająca, i me ciepłe skronie
Otula zwolna chłodem swych zamroczy.

I zdało mi się, że to ziemskie życie,
Kiedym tak patrzał w twe nieme zwierciadło,
Niby strzęp jaki ze mnie już opadło,

Żem jedną z kier tych, co na twojej płycie,
Od gleczerowych urwane wybrzeży,
Śnią w swojej czystej, nieśmiertelnej śnieży.

III.

O niepojęta przemiano! o skonie,
Coś nie jest skonem, lecz pełnią ochoczej
Radości bytu w jasnym regionie
Prawd odgadnionych, w sferach nadobłoczy.

Dusza człowieka, niby serce w dzwonie,
W tobie, Niedzieli Wielkiej dniu uroczy,
W którym Wieczystość zasiada na tronie,
Dźwięki swych pragnień najskrytszych jednoczy.

Wszakże gdy szczęście rozpala nam czoło,
Gdy w upojeniu wołamy zwodniczem
Głośne »Evoe« dla żądzy doczesnej,

Zjawia się nagle w szalejące koło
Z okiem przeczucia, z tęsknoty obliczem
Śmierć, wabiąc duszę w swój Eden bezkresny.

IV.

Głębie przestworu w błękitnej oponie —
Ni jednej chmurki wędrowiec nie zoczy;
Słońce, wpatrzone w to ciszy ustronie,
Snać swego kręgu z miejsca nie potoczy.

Rajską za sobą wiodąc eudemonję,
Niezmierną dalą ciężka senność kroczy:
Lodowe szczyty śnią na nieboskłonie,
Bór nadrodański śni w fioletów mroczy.

Tajemnym blaskiem Maerjelen się mieni,
Gładkie, milczące, ujęte, jak w ramy,
W skał i gleczeru spadziste krawędzie.

Dusza się kąpie w lustrzanej zieleni,
A kry te białe, bez skazy i plamy,
Drzemią, jak śnieżne, uśpione łabędzie.

Jan Kasprowicz.

Ze sztuki.

(Dokończenie).

Mówią o pewnym obcym malarzu, iż portretując różnych ludzi, kiedy chciał zmusić ich, aby porzucili namaszczone pozowanie, a przybrali naturalny wyraz i postawę, opowiadał im niezwykłe, zajmujące przygody. Po portretach zaś Kotowskiego sądząc, możnaby przypuścić, że on w tym samym celu osobom pozującym każe patrzeć na coś zajmującego. Ten wyraz skupionej uwagi, na każdym wizerunku odmiennej, jak odmiennym bywa sposób obserwowania u ludzi, jest głównym motywem charakterystyki w portretach Kotowskiego. W pracach owego wspomnianego jakiegoś malarza twarze musiały być przedstawione w stanie naprężenia, akcji jakiejś, u Kotowskiego mają one spokój, daleki jednak od bezwładności. Tam charakterystyka polegać musiała na rysach silnych, dosadnych, tu na subtelnych, łagodnych. System — jeśli się tak wyrazić wolno — przyjęty przez p. Kotowskiego, ma swoje wady i zalety. Wadą jest to, że może go używać tylko malarz, obdarzony bardzo bystrym darem spostrzegawczym, zaletą zaś jest, że artysta, mający już ów przymiot do rozporządzenia, nie potrzebuje wypatrywać aż specjalnej jakiejś chwili psychologicznej, aby portretowanego trafnie scharakteryzować.

Poprzyjmy teorję przykładami. »Portret posła Bojki», wykończeniem może pozostający poza innemi pracami tego artysty, właśnie tą odrębną charakterystyką odznacza się po nad nie. Mając przed sobą razem zaledwo przez kilka czy kilkanaście godzin nieznanego sobie dawniej człowieka, artysta zrozumiał, co jest istotą jego usposobienia i zamknął to w ciepłem a melancholijnem i dobrem zarazem spojrzeniu głębokich, ciemnych oczu. »Portretem Bojki», bardziej niż resztą prac, Kotowski ujmuje sobie i przeciętnego widza i krytyka.

Prócz powyższego znajdują się obecnie na wystawie dwa inne portrety Kotowskiego, stanowiące parę Pan, starszy jegomość, na jednym z nich patrzy na prawo, pani — też już nie młoda — na drugim wlewo, w tej sakramentalnej pozie, jaką miewają zwykle portrety, których przeznaczeniem jest zawisnąć w familijnym salonie po dwóch stronach kanapy czy kosza z kwiatami. Ale tu właśnie talent Kotowskiego, godzący się doskonale ze spokojem pozy, zamiast rzeczy banalnej stworzył dwa prawdziwe dzieła sztuki, ujmujące swą prostotą

Kontrast wybitny z Kotowskim stanowi jako portrecista p. Krzesz, którego »Portret ks kard. Dunajewskiego« znajduje się na wystawie. Talentu temu artyście chyba ślepy mógłby odmówić. W malowaniu ma on pewność i śmiałość, które niepotrzebnie przechodzą często w jakąś strzępiastą manierę, zatrącającą czasem Matejką. O kolorystyce jego prac podobnie dałoby się powiedzieć, a portrety Krzesza na ogół bardzo podobne, grzeszą nieraz pewną pretensjonalnością w pozie i gonieniem za charakterystyką nawet tam, gdzie jej niema. »Portret kard. Dunajewskiego» rozgrzesza od wielu zarzutów przedewszystkiem to, że malowany był niewątpliwie z fotografiji, u artysty to już niemałą zasługą, że potrafił widzowi dać o tem zapomnieć, czy nawet nie dał mu tego spostrzedz.

Pierwszy raz spotyka się nazwisko p. Stefanowicza na portrecie we Lwowie wystawionym. Jest to wizerunek rad. szkol. p. Gerstmana. Że podobieństwo zostało uzyskane, świadczy o tem, że odgadliśmy osobę. O reszcie będziemy mogli pomówić, kiedy więcej prac tego artysty ujrzymy.

Jan Zgoda.

MIĘDZY PŁOTAMI.

(*Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy“*).

(Dokończenie).

W pędzie tańca zsuwały się z głów czerwone i żółte chusteczki, a na różanem tle nieba migały jasnowłose i ciemne głowy, ładnie pochylone na stronę pod gorącemi spojrzeniami mołojców. Muzyka brzęczała coraz prędzej, prędzej... pary snuły się jedna przez drugą na wyścig, trącały, śmiały, rozpadały i chwytały niespodzianie; uśmiechy, słowa, okrzyki podniecały ochotę, a głównie tu wojował młody kozak Michałko, którego znałam tylko z jego służby dotychczas, pilnego, zręcznego, trochę sztywnego w pokojach i przy stole. Tutaj grubawy Michaś stał się zamaszysty, lekki, giętko się kłaniał w „mołdawance“ na dwa boki, trzymał zalotnie swoją dziewczynę i on to tak hukał pieśnią pełną obietnic dla tancerki, a musiało to, zda się, być szczere, bo żadnej innej nie obdarzał tą zwrotką

Czum, czum, czum, poberemsia,

szeptał ciszej, prawie do jej ucha. »Budemo panowaty!« hukał zuchwale w oczy drugim parobkom, zachodzącym mu drogę; »A ty budesz świni pasty«, rzucał w przelocie innym dziewuchom, »a ja budu pohaniaty!« — »Czum, czum«! krzyknął zawadjacko i okręcił dziewczyną w koło tak, że jej się w oczach zaćmiło, nie mogła ustać o własnej sile i głowę swą do ramienia mu przytuliła.

— Poberemsia... — mruknął między fałdy czerwonej chusteczki. Dziewczyna uciekła pod płot i osunęła się, zdyszana, na kłodę drzewa

pod parkanem, służącą jako ława dla widzów. Oparta plecami o parkan, z płonącymi policzkami, przymkniętymi oczyma, rozchylonymi usty, oddawała się spokojnemu uniesieniu, które jej gwarzyło o miłej przyszłości. Widziałam ją wybornie i czułam, że jest szczęśliwa. No, ta nie potrzebuje iść daleko majową ścieżką, aby znaleść swoje. Rozkwitła i dobrze jej w cieple obiecujących marzeń: — budemo panowaty!

Ach, prawda! złota, święta prawda! panują na ziemi — nie wielcy, bogaci, mądrzy i sławni, lecz panują: kochający się, miłujący, szczęśliwi razem, przez siebie, bo do nich należy, nie — świat, lecz — życie, pełne, pełne życie!

Michałko się zbliżył, siadł wedle niej, objął ramieniem, a zasłoniwszy głowy swoją kozaczą czapką, szepcząc cichutko: — »czum... czum... czum«.. — zapragnął koronę wiosennego pocałunku złożyć na rozkwitłym purpurowo kielichu jej ust.

Nie miałam prawa słuchać dalej tej pieśni bez słów; oni sądzili, że ich nikt nie widzi... Miłość — jak wiara, jak wszystkie kulty, jak wszelka potężna siła w przyrodzie, czy w duchu, lubi tajemnice i biada ciekawym, zuchwalcom lub zdrajcom, którzy bezkarnie uchylać zechcą tej zasłony. Olśnieni lub porażeni przypłacą niewczesne zapędy, jak owa ongi Selene w blaskach majestatu Jowisza, bo zbliżać się do tajemnic wolno tylko tym, którzy, jako ofiarnicy, zdobywają zagadkę życ.a lub przyrody ceną krwi serdecznej lub pracującego światła swej duszy...

Odstąpiłam od czarownej zagrody, poza którą radowali się ludzie; cofnęłam się powtórnie tego wieczora od świata miłości i znów znalazłam się na twardej ścieżce między dwoma płotami... Za jednym kwitła przyroda, za drugim kwitnęli ludzie, w pośrodku szła moja dusza, odosobniona, odrzucona na skaliste Patmos — bezdennych swoich myśli, chwytając bolesną równowagę między objawieniami szczęścia i miłości, sama jedna, rozpragniona, smutna, lecz silna... Czyż zawsze tak będę szła między płotami rzeczywistości i marzeń, i nigdy te płoty nie runą, łącząc moją ścieżkę z cudownym sadem pełnego życia? — Zciemniło się, i wróciłam do domu zmęczona moralnie. Pokoik mój, zalany księżycową falą, chłodny był i miły, osunęłam się na posłanie i przymknęłam oczy... Tłum różnych myśli, uczuć, uniesień i rezygnacji kołował długą chwilę w głowie, potem ucichnął... Noc zapadła, zapomniałam zamknąć okna i chłód napełnił mój pokój, zimno przejęło mnie całą, księżyc magnetycznie znieruchomił... zdawało mi się w tem uciszeniu, że już nie żyję... że w bezwładnym tym spokoju skończyła się już nużąca zmysłów szermierka, że wygasły już ludzkie prawa, i że to już koniec... Ah.. gdyby taki błogi, księżycowy, chłodny spokój był — tam już. . głęboko... Tymczasem, nagle coś mi się poruszyło koło serca... coś się prześliznęło... coś drgnęło... czyli to wspomnienie, czy reszta bólu? Co to? Czyżby się w grobie jeszcze coś ruszało w sercu?...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się nieodstępny ludzkiemu do ostatka tchnieniu, towarzysz-szyderca, — a jakże! to tylko przecie szkielety dopiero mają prawo leżeć spokojnie... ale kto nie jest jeszcze szkieletem... chociaż już tam... w głębi... to mu się w norze serca rusza cała szajka zwinnych mieszkańców i tryumfująco tam gospodaruje: — budemo panowaty!

---

4)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

— Pies... Oh, pies... mój — szepnął, przytulił głowę jego do piersi i stał tak przez chwilę, zgnębiony.. złamany, jak przed rokiem...

Dużo się nauczył, ale nic nie zapomniał!

W gabinecie usiadł w fotelu przed biurkiem, głowę oparł na rękach, zmalał, spokorniał, a kiedy wsłuchał się w grobową ciszę domu, łza za łzą spłynęły po policzkach, zawisły na szpakowatym zaroście.

Pies stał przy nim, patrzał mu w twarz i poruszał zwolna ogonem.

— Dla czego ja cierpię?... Zkąd ten ból i gdzie się gnieździ?... Serce zdrowe, mózg w porządku, nerwy mocne. Więc skąd ten ból? Co we mnie cierpi? Pamięć? wspomnienie? Ależ ja ten ból czuję we śnie... Czuję go nawet wówczas, kiedy o nim nie myślę? Dusza... boli! Dusza!

Nie zdołał jeszcze oswoić się z tem pojęciem. To wszystko, co mówił i pisał o duszy, o duchach, te nieraz krańcowo dziwaczne wywody i dowodzenia wypływały z gwałtownej potrzeby wiary... Pragnął świat cały przekonać, a w końcu możeby i sam uwierzył...

— Fakt jeden... jedyny. Ale taki, jak go sobie wyobrażano...

Czytał Crookse'a, Zöllnera, przestudjował uważnie jego polemikę z Wundtem; wraz z Du Prelem starał się somnambulizm i spirytyzm objaśnić przez siebie wzajemnie; wczytywał się w jego dowodzenia o subjekcie transcendentalnym, który jest zarazem zasadą myślącą i organizującą indywidualnego bytu; wsłuchiwał się w sądy Lombrosa i Richeta; wraz z Szopenhauerem powtarzał frazes: że »Kto nie wierzy w te rzeczy, nie jest sceptykiem, lecz ignorantem«... A gdy go współcześni uczeni zadowolić nie potrafili, czytał i rozmyślał o Schrepferze, Swedenborgu, czytał procesy czarownic, opowiadania podróżników o fakirach, o szamanach, greckie i rzymskie wyrocznie, ekstazy neoplatoników.

Zerwałam się we wstrętnem przerażeniu.

— Nie! to serce moje biło... nie, nie tamto! a tamtego też nie chcę! nie chcę! choć się tego nie czuje, — ale ja nie chcę, nawet — nie czuć tego! Spalić się każę... w czysty proch się obrócę... w lekki pył, który wionie ku gwiazdom w nieskończoność bytów świetlanych... Panować nad sobą nie dam łakomym organizmom podziemnym, nie! — Duch mój i ciało, dotknięte bolesnem wrażeniem, zerwały się do nowej, dumnej walki... między płotami doczesności i śmierci, kędy ścieżka ludzka idzie twarda, kręta i dziwna, tem dziwniejsza i trudniejsza, im człowiek dotkliwiej doznaje jej zwrotów niezbadanych, im zmysły wrażliwiej odczuwają kwitnące dla wszystkich prawa po obu brzegach tej drogi, im los ciaśniej te płoty zsuwa, tak iż życ e ociera się o nie za każdym krokiem... Ale dalej! niech pokornieje ten hardy ziemski proch, niech się nie wzdryga zasadą podziemnych przemian, niech zwleczoną z ducha szatę odrzuci wspaniałomyślnie najniższej rzeszy zgłodniałej na żer, niech pył wraca użyźniać rodzinne łany na złoty, żytni plon... dalej! Między płotami czasu i wieczności — czum! czum! czum! serce moje, walki moje, smutki, myśli, skrzydła moje! Budemo panowaty!

Szczęsna.

LEON SAY.

Pragnąc ocenić działalność świeżo zgasłego Leona Say'a, jako teoretyka-ekonomisty, trzeba odrazu zaznaczyć, że praktyczny mąż stanu i minister skarbu miał w nim zawsze przewagę nad uczonym. Say więcej się zasłużył skarbowi francuskiemu, a może nawet więcej politycznym sprawom ojczyzny, niż nauce ekonomji. Więcej ważyło jego umiejętne zaciągnięcie pożyczki u Rotszylda na kontrybucję miljardową dla Niemiec, więcej jego reformy budżetowe i konwersje długów, aniżeli cały bagaż piśmienniczy, który pozostawia potomności.

Leon Say, wnuk Jana Baptysty i syn Horacego Emila Say'ów, miał w tradycji rodzinnej wskazówkę i zachętę do studjów ekonomicznych. Jego dziad, autor *Traité d'économie polit.*, popularnego wykładu zasad Adama Smith'a, zawartych w klasycznem dziele *Wealth of nations*, tą pracą zwrócił na siebie uwagę Napoleona, który jednak zażądał, aby Say zmienił rozdział o finansach państwowych, jako nie odpowiadający widokom rządu. Say dał dowód mocy przekonań, i zdołał oprzeć się naciskowi Bonapartego. Temu dziełu zawdzięcza też swe głośne imię, bo ono spopularyzowało nie tylko we Francji, ale także na całym kontynencie teorje Smith'a. Wprawdzie zarzucają dziś pierwszemu z dynastji Say'ów, że stał się »wulgaryzatorem« (tak go nazwał Lorenz v. Stein) systemu smithowskiego, bo go uczynił płytszym, odrzuciwszy cały filozoficzny pierwiastek; ale, bądź co bądź, należy

---

Zmęczony, chwiejny, z rozbudzoną fantazją a pustem sercem odsuwał książki i pytał z cicha: czy mój chłopak miał duszę?

Myśl ta stała się manją prześladowczą. Chwilami pragnął się jej pozbyć, pragnął zapomnieć. Próbował wrócić do zwykłej swej fachowej pracy... Nie mógł!

Życie codzienne straciło dlań wszelki urok i wszelki interes. Nie potrafiłby wrócić do drobnych codziennych spraw, któremi żył dotąd. Nauka wydawała mu się zbiorem formułek, wymyślonych dla zaspokojenia łatwowiernej ciekawości; o ludziach nie myślał, oponenci z zasady, zjadliwi obrońcy zdrowego rozsądku drażnili go z początku i doprowadzali do zaciętej walki. Oni to, więcej niż wszelkie dowody i wyczytane fakta, popchnęli go do badania prawdy...

— Jeden, jedyny fakt! — powtarzał w duszy.

Cały plan miał w pogotowiu, dotąd jednak nie zdołał wyszukać odpowiedniego medjum!

Widział już nieraz objawy zdumiewające, medja cudowne, które jednak zawsze bywały jakby w entrepryzie, ktoś niemi kierował, ktoś nakręcał po swojemu, tak mu się przynajmniej zdawało... Wierzył i podejrzewał zarazem... W ostateczności sam siebie o łatwowierność i zaślepienie oskarżał.

Był znakomitym magnetyzerem, dowody swej cudownej siły miewał już nieraz.

Myśli te nużyły go i rozdrażniały. Pewną ulgę przynosiło mu opisywanie widzianych i słyszanych faktów: wpadał wówczas w drobiazgowość, nie ominął najdrobniejszego szczegółu. wiedział, że otwiera przed tłumem świat nieznany, tajemniczy, pełen nadzwyczajnych niespodzianek. Czuł, że psuje krew zaciekłym materjalistom, z których każdy ma go za skończonego blagiera, pomimo to czyta jego absurda, oburza się, szydzi, przyjmując za osobistą zniewagę wszelkie wystąpienia przeciwko pozytywnej nauce!

Tu będzie pozbawiony nawet tej jedynej ulgi?... Podrzucił ramionami. Co mu po tem?

Siedział jak odrętwiały: myślą tylko zwiedził każdy kąt domu... Stał długo nad łóżeczkiem chłopaka... Jutro na grób jego pójdzie..

Kto wie, może go te puste kąty... wyleczą?

mu się zasługa uprzystępnienia ogółowi wiedzy ekonomicznej. Say ojciec, raczej negocjant, niż teoretyk, ogłosił tylko długi zresztą szereg rozpraw i pism, przeważnie z dziedziny wiadomości o handlu. Był on przytem, jak Jan Baptysta, bezwzględnym zwolennikiem idei wolnego handlu.

Te same tendencje były gruntem, na którym wspierały się badania ekonomiczne Say'a wnuka. Dwie jego główne prace: *Le socialisme d'Etat* i *Turgot*, obok masy rozpraw i artykułów, są obroną wolno handlowych teorji. W dziele o Turgocie wynosi on znaczenie tego ekonomisty, przeceniając je. W pracy o socjalizmie państwowym broni teorji wolno handlowych od zarzutu jednostronności i identyczności z manchesteryzmem, ponieważ, podług niego, szkoła ta dziś hołduje interwencji państwa w sprawach ekonomicznych. Say zaś jest tylko zwolennikiem samopomocy i systemu stowarzyszeń. Interesy spożywcy obchodzą go daleko więcej od spraw warstw produkujących, a wolność w ogólnej dziedzinie stosunków gospodarczych — od pomyślności jednostki. Dlatego Say był otwartym nieprzyjacielem idei socjalistycznej w każdej jej formie. W tym duchu występował też jako praktyczny polityk i nawet tak niewinną postać socjalizmu państwowego, jak upaństwowienie kolei, energiczn e zwalczał. Tak samo powstawał przeciw protekcji celnej, a szczególnie cłom zbożowym. Dla niego ideałem była organizacja ekonomiczna, wśród której stosunki regulowały się drogą swobodnego procesu.

Niedawno w »Journal des Débats» polemizował z projektem podatku dochodowego, w którym upatrywał krzywdę. Był to, zdaje się, ostatni jego głos publiczny.

Nie można jednak zupełnie odmówić mu zasług dla nauki ekonomji. Przedewszystkiem tak, jak dziad jego, przyczynił się do jej spopularyzowania. Był już w 1852 r gorliwym współpracownikiem »Słownika nauk ekonomicznych» (Dictionnaire de l'Economie politique» Coquelin'a i Guillaumin'a), a od r. 1883 wydawał przy współredakcji Foyot'a i Laujalleya »Dictionnaire de finances», zaś w latach 1891/92 redagował z Chailley'em »Nouveau dictionnaire d'économie politique». Żywo zajmował się każdą kwestją ekonomiczną i ogłaszał o niej swój sąd bądź w »Journal des Economistes», dodatku do »Journal des Débats» (którego był współwydawcą), bądź w specjalnych czasopismach, bądź wreszcie w »Annales de l'Ecole libre des sciences politiques».

Nie można o nim powiedzieć, że pozostawia uczniów, bo sam szkoły nie stworzył, trzymał się tylko wiernie tradycji swego dziada, więc pośrednio Smith'a, a przejął się przytem jeszcze ideą stowarzyszeń i samopomocy; pozostawia jednak we Francji młodszych towarzyszów broni w osobie Leroy-Beaulieu i Chailley'a.

Dodać warto, że dowody praktycznej zdolności ekonomicznej złożył świetnem administrowaniem swych dóbr i fabryk cukru; pozostał też po nim miljonowy majątek.

Tam było mu tak ciężko, tak strasznie smutno, iż z motyką porwałby się na słońce, żeby gwałtownym jakimś czynem zabić ból, zahypnotyzować się nadzieją odurzyć jak haszyszem tą myślą, że czas był tylko snem ciężkim, że śmierć nie przerywa życia. Gorączka ta wyrwała go z apatji, pchnęła do pracy, otworzyła nowy świat dla myśli i doświadczeń: dała mu trochę spokoju i trochę zadowolenia...

— Świat codzienny ze swą nauką wystarcza szczęśliwym i głupim... Nieszczęśliwy zawsze od niego uciekał!

Westchnął; przesunął ręką po czole.

Lokaj wniósł lampę, spuścił story, stąpał ostrożnie, spoglądając z ukosa na pana — zupełnie jak wówczas, przed rokiem, kiedy wszyscy traktowali go, jak chorego... mówili z cicha, stąpali z cicha — a on przesiadywał całemi godzinami w tym samym fotelu.

— Pan Struś? — spytał lokaja.

— W domu. Czy mam prosić...

Skinął głową. Lokaj wysunął się z gabinetu.

I ten, tak samo jak przed rokiem, nie śmie wejść do niego. Otaczał go opieką, zgadywał jego myśli, czuwał jak nad bezsilnym, chorym dzieciakiem, ale niewołany nie wchodził. Posiadał delikatność kochającej kobiety zdaleka... zblizka marnie udawał zgryźliwego sceptyka... poczciwiec!...

Struś wszedł w czerwonym fezie, zsuniętym na lewe ucho, gryzł wargi i wpatrywał się w doktora z pod okularów.

— Che, che, wyglądasz jak tur! nawet łysina zarosła! No, dobrze, żeś wrócił!

Uścisnęli się za ręce.

Struś obrócił się, niby krzesła szukał, tymczasem szybko zacisnął powieki: dostrzegł błyszczące krople rosy na szpakowstym zaroście doktora — i zrobiło mu się głupio na duszy...

Schwycił krzesło; usiadł naprzeciwko przy biurku...

— No, cóż? gadaj... Jak się miewasz? zdrów? spokojny? co?...

(D. c. n.). *Osłoja.*

Kontynenty i geologiczne ich dzieje.

(Dokończenie.)

Ocean Spokojny, w ostatnich lat dziesiątkach tak niesłychanie ważny w dziejach ludzkości, jest co do powstania starszy, niż mniejszy jego rywal, z którym poznał się wcześniej człowiek kulturalny. Możnaby nawet twierdzić z całą pewnością, że jest on w ogóle najpierwotniejszem kotłowiskiem, zagłębieniem skorupy ziemskiej, które posiadamy, a które służyło jako zbiornik dla pierwszych już opadów mgły zgęszczonej. Pomimo to wszakże, istnieje szereg postrzeżeń, które udowadniać się zdają, że znaczna część tego zbiornika powstała w nowszych czasach i że istnienie swe zawdzięcza on zagrążeniom się późniejszym terytorjów. Płaszczyznę jego wypełnia mnóstwo drobnych wysepek, począwszy od wschodnich wybrzeży Australji i Nowej Gwinei aż do wielowyspu Hawajskiego i Tahiti, a na południu do grupy wysp Samoa, Tongi i Viti ku Nowej Zelandji. Przeważna część tych wysepek powstała pracą zwierzokrzewów koralowych, które je zbudowały. Ale obok tych, powstałych w teraźniejszości wapieniów, znajdują się na licznych punktach także prastare resztki kamienisk. Wymieniamy między innymi granity z Palaos, starsze łupki Nowej Brytanjii znajdujące się na Markezas, niemal w pośrodku olbrzymiego zbiornika łupki mikowe i gnejsy. Wolno przypuszczać, że te stare składniki górskiej formacji znajdowały się niegdyś w łączności z sobą, za czem przemawiałby także układ graficzny tych wysp, odznaczający się prostemi łukowemi liniami, i że zatem możemy w nich upatrywać resztki pogrążonych w otchłanie gór. W swoim czasie i Darwin wnioskował z ustawicznego wzrastania budowli koralowych wśród wielowyspu Polinezyjskiego, że terytorjum oceanu Spokojnego powoli i nieustannie się obniża; rafy koralowe nigdy we wzroście swym zupełnie powstrzymywane nie bywają i dla tego dochodzą do potężnej wysokości około 600 metrów. Tak samo i Dana wnioskował z półkolistego ugrupowania wysp koralowych, że potworzyć się musiały jako rafy przybrzeżne wzdłuż bregów zatapiającej się wyspy, jakoż w licznych wypadkach zdołano z kształtów mas koralowych dociec kształtu i rozległości ich rdzenia pierwotnego.

Zbiornik morza Spokojnego jest nareszcie widownią najżywszej działalności ruchów wulkanicznych. Już Galapagos u zachodnich wybrzeży Ameryki południowej są natury bezwzględnie wulkanicznej i co prawda w minimalnych rozmiarach, wulkany te czynne są i dziś jeszcze. Atoli na zachodzie wydobywa się lawa z Hiwahoa, na wyspach Markezas, Tahiti i Bola-Bola, na Towarzyskich, na Samoa, z Nowych Hebryd i Salomonowych, tudzież Nowobrytyjskich, a wznoszący się na 4139 metrów Kilauea hawajski należy do najniebezpieczniejszych na ziemi wulkanów. Owoż tedy wulkany nie są przyczyną, jak mniemano dawniej, ale następstwem zagrążeń w skorupie ziemskiej, jakoż znajdują się one zawsze u wybrzeży kontynentów na krańcach pogrążonych obecnie lub dawniej pod falami morza obszarów. Wulkany zatem, ławy koralowe i geologiczne składowe pierwiastki wysp jeszcze istniejących, mówią w jednakiej mierze o zniweczeniu polinezyjskiego kontynentu, o tym pomoście pomiędzy Ameryką południową, a Australją, geografja zaś świata zwierzęcego, niezależnie od tych czynników, umożliwiła zdobycie całego szeregu faktów, które mogą służyć jeszcze jako potwierdzenie tej teorji.

Na polinezyjskich wyspach znajdują się dwie grupy ślimaków lądowych, gatunku *Partula* i *Achatinella*, które wydawały się właściwością tej grupy wysp. Co do pierwszego atoli gatunku można było przed kilku laty sprawdzić, że istniał niegdyś w starszych formacjach trzeciorzędowych w górnych Włoszech i w części południowej Ameryki północnej. W południowej faunie wód słodkich Nowej Zelandji znajdują się według Iheringa mięczaki, ryby i raki tak identyczne pod względem rodzajowym z takiemiż w zachodniej Ameryce południowej, iż stosunek jest jaskrawy. Przeniesienie tych organizmów, jak równie udowodnił Ihering za pośrednictwem złomisk drzewa, lodowców i t. p. byłoby niemożliwe, ponieważ zwierzęta te w słonej wodzie morskiej natychmiast giną. Według Sempera, charakterystyczne spiralne ślimaki lądowe (Bulimus) wymienionego kontynentu, posiadają pokrewne im, nie jakby kto przypuszczał w Ameryce północnej lub Indjach zachodnich, ale na Nowej Kaledonji i na wyspach Fidżi. Możnaby oczywiście nagromadzić więcej przykładów, ale wystarczą już i przytoczone, ażeby uczynić wielce prawdopodobną teorję, że świat zwierzęcy Polinezji nie jest endemiczny, powstały na miejscu, lecz że przywędrował przez odległe, ku południowej Ameryce ciągnące się i tam sięgające niegdyś ziemie. Że fauna ta jest niezmiernie starożytną, że zatem była w stanie w ciągu czasów geologicznych opanować szeroki zakres, udowadniają olbrzymie żółwie wysp Galapagos, których najbliższe powinowactwo w niedalekiej przeszłości na tak odległych od siebie wyginęło punktach, jak Malta, Indostan i wyspy św. Maurycego.

Połączenie następnie pomiędzy kotłowiskiem (zbiornikiem) oceanu Atlantyckiego a Spokojnego, a względnie pomiędzy ich co do rozmiarów mniejszymi poprzednikami, dziś tylko u kończyn Ameryki południowej i u przylądka Horna, doko-

nało się być może dawniej na szerszej widowni na północ od równika przez morze Karaibskie. Przez nie zamknął się pierścień centralnego, całą ziemię opasującego wązką jeno smugą morza Śródziemnego, którego egzystencję mamy prawo przypuszczać w najstarszych perjodach dziejów ziemi. Był to złośliwy figiel losu, który sprowadził dla handlu światowego wiele niebezpieczeństw i trudności, a Zachodowi niejeden dzień pełen goryczy, że od połowy formacji trzeciorzędowej, z wynurzeniem się Antylów, zamknięta została ta komunikacja, gdy natomiast przesmyk Panamski wynurzył się dopiero z początkiem formacji diluwialnej. Wrota tymczasem do morza Indyjskiego, od północnej i południowej strony kontynentu australskiego, były zawsze w tem lub owem miejscu otwarte.

Ocean Indyjski przedstawia, podobnie jak Spokojny, na pozór bardzo dawną kotlinę morską, jakkolwiek w dawnych perjodach był znacznie mniejszy i doszedł do swoich obecnych rozmiarów dopiero w ciągu formacji trzeciorzędowej. Jeszcze za czasów Jurajskich, a zatem około wieków średnich dziejów ziemi, jak to Neumayr udowodnił z różnorodności należących do tych czasów namulisk morskich Mozambiku i u przylądka, łączyły Afrykę południową z Madagaskarem, a ten z Indjami szerokie pasma ziemi. Ten indomadagaskarski półwysep nastręczył całemu szeregowi form zwierzęcych, w szczególności gatunkowi małpiatki. zwanej *lemur*, będącej szczeblem pomiędzy czwororękiemi a niższymi organizmami ssaków, znakomitych warunków egzystencji tak dalece, iż gatunek ten utrzymać się tam mógł aż do dni dzisiejszych. Gdy ta szczególniejszemi właściwościami obdarzona rodzina ssaków pojawia się obecnie tylko w Afryce na południe od Sahary, na Madagaskarze i w Indjach, cały zaś szereg charakterystycznych ssaków, jak małpy antropomorfne i inne równomiernie są rozpowszechnione, to już ze strony geografji zwierzęcej wnioskowano o istnieniu terytorjum Lemurskiego, zanim jeszcze docieczono dat geologicznych, które są w stanie teorję tę potwierdzić tak stanowczo. Widać, jak tutaj jedna teorja wynika z drugiej.

Jeżeli z ręką na globusie posuniemy się po liniach pobrzeży dzisiejszych kontynentów, to przekonamy się, że szczególnie wschodnie granice północno-amerykańskiego i azjatyckiego lądu stałego podzielone są całym szeregiem mórz śródziemnych, które wrywają się w kraj głęboko. Kotlinowa ich i wulkaniczna postać świadczy wymownie, że należy w nich widzieć terytorja pochłonięte, których powierzchnia zanurzyła się w głębinach. Takie tektoniczne zapadłości tworzą odnoga Bafińska, Hudsońska, zatoka Meksykańska i Karaibskie morze u wybrzeża amerykańskiego, — morze zaś Ochockie, Japońskie i Chińskie u wybrzeży azjatyckich. Ale żadna z tych kotlin morskich, mniej więcej oddzielonych od oceanu, których dzieje geologiczne pisaćby dopiero trzeba, co już w części uczynił dla morza Karaibskiego w ostatnich latach Gregory, żadna mówimy nie ma dla człowieka i jego dążności cywilizacyjnych ani w części tego znaczenia, jak stosunkowo wązka, miejscami dość głęboka droga morska, która dzieli Europę południową od Afryki i Azji, a którą przywykliśmy poniekąd urzędownie nazywać »Morzem Śródziemnem«. W niem otrzymała południowa część naszej dzielnicy świata niezrównany podarunek od losu dobrotliwego; temu morzu zawdzięcza ta część świata nieprzebraną płodność i urodzajność, korzyści klimatu wyspiarskiego, łagodne, wilgotne zimy i umiarkowane ciepła w lecie. Tu najpierw uczył się człowiek kulturny powierzać chwiejny statek złudnym falom, przedsiębiorąc podróż wzdłuż wybrzeży, w końcu zaś i w poprzek rozprzestrzeniać swoje wędrówki morskie i stąd przenosić handel, cywilizację i obyczaje ku odległym wybrzeżom oceanu. Wązka tylko, kilka mil szerokości mierząca droga wodna, łączy jego zatokę obok słupów Herkulesa z tym ostatnim, a nie wiele szersze wrota w przedłużeniu ku północnemu wschodowi, łączą go z morzem Czarnem. Dalej ku wschodowi znajdujemy mocno już przeobrażone w wody słodkie morza śródziemne Kaspijskie i Aralskie, które, jak udowadniają ich dzieje, są jeno oderwanemi cząstkami morskiej kotliny morza Śródziemnego. Zagłębienie morza Śródziemnego jest prastare i wielce powikłane nici jego dziejów. Mamy powody do przypuszczenia, że w okolicach tych istniała przestrzeń morska od czasów najrańszych, która opasywała wąską wstęgą całego naszego planetę. Ocean ten Śródziemny ulegał rozlicznym zmianom co do swojej postaci, rozprzestrzeniał się często ku północy i południu i nawiedzał powodzią dalekie przestrzenie ziem, a natomiast w innych perjodach bardzo malał co do swej zawartości. I tak w czasach formacji dolno Jurajskiej, Liasu, przerwana była komunikacja morza Śródziemnego z oceanem Indyjskim przez Azję Mniejszą i środkową, gdy natomiast w czasach formacji górno Jurajskiej zostało połączenie nie tylko na nowo otwarte, ale wskutek zalewu płaszczyzny północnej przywrócone nawet było połączenie z morzem Północnem.

Dopiero pod koniec perjodu formacji trzeciorzędowej, a zatem stosunkowo w czasach bardzo niedawnych, ustaliło się morze Śródziemne w granicach dzisiejszych. Z wód wynurzył się przesmyk Panamski i odłączył świeżo wytworzony Atlantyk od oceanu Spokojnego. Łączność morza Śródziemnego z oceanem, która wyrobiła się w czasach dawniejszych wskróś południowej Hiszpanji, przez dolinę Gwadalkwiwiru, zamknięta została skutkiem wzniesienia się tego terytorjum, a na miejsce tej komunikacji wytworzyło

się przejście koło Gibraltaru. Jedna odnoga morska, poczynająca się od doliny Rodanu i ciągnąca się łukiem przez Szwajcarją, Szwabię i Austrję, mianowicie w najstarszym perjodzie formacji trzeciorzędowej, objąwszy wyspę Alpejską, a stąd znalazłszy drogę przez Węgry, półwysep Bałkański do Pontu (morza Czarnego), Kaspijskiego i Aralskiego, uległa przeobrażeniu w wody słodkie i wyschła powolnie. We wzmiankowanych więc dopiero co trzech morzach, można po ich ślimakach i muszlach rozpoznać potomstwo owej fauny środkowej trzeciorzędowej formacji, poczytać je zatem można z pewnością za resztki owej starej odnogi morskiej. Ale i na wschodzie południowym zaszły nie mniej wszechstronne i gwałtowne przeobrażenia. Potworzyły się góry Azji mniejszej i Kaukazu i przez nie zostało morze Śródziemne oddzielone od morza Czarnego. Zaklęsły za to inne obszerne powierzchnie w otchłanie. Wskutek pogrążenia się trzech rozległych terytorjów, które istniały w środkowym perjodzie formacji trzeciorzędowej, mianowicie Tyrenji, która wiązała Włochy południowe z Alpami śródziemnemi, Adrji, pomiędzy górą Gargano a Dalmacją i Egei pomiędzy Azją Mniejszą a półwyspem Bałkańskim, utworzone zostały trzy kotliny, zwrócone ku północy, a obfitujące w wyspy, to jest morza Tyreńskie, Adrjatyckie i Egejskie. Kreta i Malta, które dawniej miały łączność z Afryką północną,została wskutek wtargnięcia morza znacznie w rozmiarach umniejszone. Ale i u północnych wybrzeży afrykańskich, szczególnie w terytorjach na północ od międzymorza Suezkiego, mamy powody przypuszczać równie znaczne uszczuplenie lądu stałego.

Zesumowawszy to wszystko, przekonywamy się: że granice pomiędzy stałym lądem a morzem nie tylko nie posiadają przypisanej im dawniej trwałości, ale że owszem są niezmiernie chwiejne. Jak na obecnych kontynentach znamy tylko nie wiele terytorjów, któreby nigdy w ciągu geologicznego rozwoju nie były się pogrążyły pod szybę morza, tak z drugiej strony i obecnie znajdujemy rozlane morze na obszernych przestrzeniach, które dawniej stanowiły stałe części ziemi i zapewniały wyższym istotom przystań i pożywienie. Jak wyjaśnić te przeobrażenia, jakie czynniki potężne wchodziły tu w grę i jakie źródła sił już się wyczerpały? Nowoczesna geologja, a przedewszystkiem główny reprezentant nowożytnych tektonicznych badań, Edward Süss, któremu zawdzięczamy torującą działalność w poszukiwaniach co do powstania łańcuchów gór — zna tylko jedną odpowiedź na te pytania, odpowiedź, przez którą stwarzający ścisły związek z teorją formacji gór: — Ziemia, jako powolnie stygnące ciało, kurczy się w swej rdzeni, otaczająca ją zewnętrzna skorupa zaczyna być za przestronną dla uszczuplonej objętości wewnętrznej, dostaje więc, podobnie jak powłoka uschniętego owocu, zmarszczków i fałdów. Przy tem wypuklaniu się, na miejscach, wystawionych na maximum ciśnienia, powstają rozpadnięcia i przepukliny, a przez nie padają potem zwolna, ale ciągle znaczne obszary w głębie. Jeżeli się przytem części te dostaną niżej pewnego poziomu i jeźli morza nie przedziela od nich łańcuch górzystości, to widownia wklęsłości przeobraża się w odnogę morską; jeśli natomiast ocean znajduje zaporę terenową, to otrzymujemy w takich zagłębieniach jeziora śródziemne, które jak np. morze Martwe w Palestynie zagłębić się mogą do (394 metrów) niżej poziomu sąsiedniego morza. Ale powstawanie gór i zapadanie terenów są to czynniki, które działały od najstarszych perjodów historji ziemi, i im to zawdzięczamy zmienną scenerję na naszym planecie, oraz źródło naszych estetycznych upodobań i nasz rozwój cywilizacyjny. Potęgi te i dziś jeszcze są w pełni ruchu działającego. Podczas gdy ostatnie stadjum wyłonienia się gór Himalai zaszło w czasie, w którym człowiek żył może wspólnie z licznemi i dziś jeszcze istniejącemi gatunkami wyższych organizmów zwierzęcych, przypada główne wyniesienie się i wzrost chilijskich Andów według wybitnych autorów z pewnością na czasy dziejów starożytnych. I dziś jeszcze dostrzegamy powolne, ale zmienić się dające podnoszenie się wybrzeży skandynawskich i włoskich, a w przeciwstawieniu do nich opadanie pobrzeży morza Północnego. Huczące echa trzęsień ziemi oznajmiają o powolnem, ale ustawicznem opadaniu potężnych obszarów ziemi, a w obrębie terytorjów morza Śródziemnego, w południowych Włoszech, Grecji, Azji Mniejszej mówią o przysposabianiu powolnem nowych formacji granic kontynentalnych.

(Według P. Oppenheima tłum. T. Sz.)

Wiadomości bibljograficzne.

Pielęgnowanie zdrowia. Książeczka dla wszystkich. Opracował Seweryn Sterling, lekarz. Z 13 rysunkami. Warszawa, 1866, str. 151.

Za wzór do tej pracy posłużyło autorowi dziełko, wydane przez państwowy urząd zdrowia w Niemczech, p. t. „*Gesundheitsbüchlein.*“ Książeczka zawiera najpierwsze wskazówki o zachowaniu zdrowia. Wyjaśniono tu pokrótce budowę ciała ludzkiego, oraz wpływ na jego rozwój: powietrza, wody, pokarmów, odzieży, mieszkania, pracy, wychowania i zawodów. Dziełko to zostało zalecone przez komitet hygieny ludowej II wystawy hygienicznej w Warszawie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.